



Odetta Demelówna obudziła się później, niż miała to w zwyczaj, w niezwykłym nastroju. Przez niedokładnie zasłonięte story wpadał do jej pokoju jasny promyk słońca. Na materii zasłony widać było cień sosnowej gałęzi. Za oknem musiał wiać lekki wiatr, bo gałąź się poruszała i delikatnie pukała w szybę, jakby chciała wywabić ją z domu. Kobieta chwilę przyglądała się temu i zastanawiała, co z tym zaproszeniem zrobić?

Przypomniała sobie, co śniło się jej tej nocy. To był piękny sen.

Stała przed jakimiś wysokimi dwuskrzydłowymi drzwiami. Zrobiono je ze szlachetnego drewna, może to był dąb, a może raczej drewno owocowe – orzech czy czereśnia. Widziała je wyraźnie. Obydwa skrzydła podzielone były na kwatery jak słynne Drzwi Gnieźnieńskie i w każdej kwaterze wyrzeźbiono wizerunek drzewa. Raz była to wyniosła sosna, raz brzoza z wiotkimi gałązeczkami, gdzie indziej dąb rozkładał szeroko swoje konary, a w kwaterze obok z klonu spadały liście.

Drzwi były piękne, a ona stała przed nimi z mocno bijącym sercem, bo wiedziała, że jeśli tylko je otworzy, to stanie się coś niewiadomego i niespodziewanego, co wprawiało ją w pełne nadziei drżenie. Sięgnęła klamki znajdującej się naprzeciw twarzy

i nacisnęła ją. Drzwi najpierw lekko się uchyliły, a potem wypadający spoza nich blask otworzył je szeroko i Odetta stanęła w nim oślepiąca. Nie widziała nic oprócz jasności, ale ona niosła ze sobą taką radość i szczęście, że musiała się obudzić.

To przeżycie nie miało w sobie religijnego mistycyzmu. Wydawało jej się, że niesie ze sobą ludzkie, ziemskie szczęście.

– To nieprawdopodobne! – westchnęła i powinna posmutnieć, ale ta dziwna euforia jej nie opuszczała.

Wstała z łóżka. Było ciepło, więc nie narzuciła na siebie szlafroka. Trochę szurając kapciami po podłodze, poszła do pracowni. Na ścianach pozawieszała tu kilka już wykończonych prac, a na sztaludze wisiał obraz, nad którym dopiero pracowała. Wyglądały nieco inaczej niż zwykle. Jedne, te w szarej tonacji, nabrały srebrzystej jasności, w innych, choć miały przygnębiać burymi brązami, na krawędziach grubszych warstw farby zapalały się rdzawe, wesołe iskierki.

– Co może słońce? – mruknęła do siebie zaskoczona i sama niedowierzała tonowi, z jakim wypowiedziała te słowa, bo słyhać w nim było uśmiech.

Jej obrazy. Ostatnio malowała cykl, który inspirowany był wierszem Leopolda Staffa *Deszcz jesienny*. Rzeczywistość przedstawiona na nich widziana była jak przez mokłą szybę. Sposób, w jaki malowała ściekające krople, zyskał sobie wielkie uznanie krytyki. Pisano, że wynalazła nowy kolor nazywany czasem przezroczystym, a czasem deszczowym. Mówiono o świetle widzianym przez łzy, o wielkiej wrażliwości i pięknie smutku. Nieczęsto się zdarza, by zachwyty krytyków szły w parze z zachwytem publiczności

i klienteli, a jednak obrazy Odetty łatwo znajdowały nabywców, a cena ich systematycznie rosła, zapewniając jej dostatnie, żeby nie powiedzieć luksusowe życie.

Nie bardzo ją to obchodziło. Nie miała dużych wymagań. Wystarczyło jej niewielkie mieszkanie na piętrze drewnianej willi w Otwocku i przylegająca do niego spora, dobrze oświetlona pracownia. Rzadko opuszczała swój dom. To był jej azyl, miejsce, w którym nie musiała kryć się z cierpieniem i smutkiem.

Skurczyła się w sobie, bo zawsze, kiedy tylko zbliżyła się myślą do tamtych tragicznych wydarzeń sprzed lat¹, czuła, jakby wpadała w piekielny wir czarnej rozpacz. Zwijala się wtedy w kłębek, nie wychodziła z łóżka przez kilka dni, nie odbierała telefonu, aż zaniepokojone mama albo siostra wpadały lub choćby przysyłały Władeczkę, zaprzyjaźnioną pielęgniarkę, i podejmowały akcję reanimacyjną, stawiającą ją na nogi. Akcja polegała na tym, że podawano jej kilka pigułek i ktoś wyciągał ją z jej samotni.

Musiała przyznać, że coraz składowiej im to szło. Odetta uśmiechnęła się na wspomnienie, jak Joanna, jej siostra, przeglądając zawartość szafy przy okazji takiego wyjścia, łamała ręce nad jej zawartością.

– To już zupełnie niemożliwe! – wykrzykiwała, wyciągając suknię po sukni.

Do tej pory Odetta przyjmowała to z obojętnością. Nie obchodziły ją jej ubiory ani emocje Joanny, dziś jednak poczuła miłe ciepło w okolicy serca. Bo któż by przypuszczał, że jej mądra

¹ Są one tematem poprzedniego tomu pt. *Dwie siostry*.

siostra, ceniona przez pacjentów i kolegów po fachu jako lekarz specjalista chorób płuc, będzie się przejmowała stanem jej garderoby? Jeszcze kilka lat temu pewnie nie zwróciłaby na to uwagi. Joanna zawsze była do bólu solidna i obowiązkowa, w ubiorze ascetyczna. Kobięciej kokieterii nie było w niej za grosz.

Odetta wiedziała, że przyczyną tego była ciężka choroba, którą Joanna przeszła w dzieciństwie. Polio, inaczej zwane chorobą Heinego-Medina zbierało żniwo wśród dzieci. Zarazić się nim było łatwo. W większości przypadków zakażenie przebiegało łagodnie, ale czasem porażało mięśnie, czego konsekwencją było kalectwo albo nawet śmierć, jeśli zaatakowane zostały te, które były odpowiedzialne za oddychanie. Joanna utykała na prawą nogę i stąd jej ascetyczny stosunek do życia. Zmienił się on jednak za sprawą kolegi z pracy, doktora Stefana Sucheckiego. Dziś nikt by nie rozpoznał w pani o figlarnych oczach dawnej smętnej Joanny.

Dopiero po chwili Odetta zdała sobie sprawę, że już od dłuższego czasu myśli o siostrze. W swoim dawnym życiu kochała ją, a później jak ognia unikała każdego wspomnienia o niej. Te wspomnienia nieuchronnie prowadziły do powrotu obrazów najtragiczniejszego momentu, który złamał jej życie. A teraz myślała o Joannie i nic. Żaden skurcz żołądka nie zapowiadał nadejścia gwałtownej rozpacz, która zwykle zmuszała ją do krzyku. Musiała się z tym kryć, gryzła w bólu poduszkę. Zawsze miała ją pod ręką, by tłumić płacz. Nie chciała, by usłyszeli ją gospodarze mieszkający na parterze willi ani sympatyczna para starszych ludzi zajmujących mniejsze mieszkanko obok, na piętrze.

Tym razem nic nie zapowiadało gwałtownego ataku rozpacz, Odetta więc nieśmiało zerknęła myślą w stronę Urszulki, swojej córeczki. Ta miała prawdopodobnie uratowała jej życie. Pewnie wzorem zhańbionych kucharek połknęłaby strychninę dostępną w pierwszym lepszym sklepie jako trutka na szczury albo zrobiła cokolwiek innego, równie okropnego. Nie mogła znieść wspomnienia chwili, kiedy samolot jej ukochanego Maksa pikował w dół, ciągnąc za sobą smugę czarnego dymu. Do szaleństwa doprowadzał ją słup ognia, który wybuchł nagle w tej samej sekundzie, kiedy aeroplan dotknął ziemi. Ale wtedy, kiedy to zobaczyła, jednocześnie poczuła w dole brzucha rozwijające się w niej życie. Pomyślała, że to Maks, że to on odrodzi się w niej, choć właśnie stracił życie. Jakby możliwe było przeskoczenie z płonącego samolotu do jej wnętrza.

Sądziła, że urodzi jej się syn, który będzie patrzył na nią oczyma Maksa. A tymczasem urodziła się Urszulka nic a nic niepodobna do jej ukochanego. Odetta miała o to do niej pretensje, jakby ta małeńka dziewczuszka nie wypełniła nałożonego na nią obowiązku. Przecież była córką Maksa, dlaczego więc tak zupełnie go nie przypominała?

Ale teraz ten żal też jakoś wypłowił i mogła wspomnieć wieczór wigilijny spędzony u Sucheckich. Wszyscy byli tacy pogodni. Joanna i jej mąż stali koło fortepianu w salonie. Dumni i uszczęśliwieni patrzyli, jak Urszulka, którą traktowali jak swoją córkę, ze sporą, zaskakującą u pięciolatki wprawą gra kolędę. A potem wszyscy się do niej dołączyli ze śpiewem i tylko mama

spoglądała na Odettę ze smutkiem i niepokojem. Odetta siedziała bowiem w kącie jak nastroszona wrona i nie otwierała ust, gdyż mogło się z nich wydobyć co najwyżej ochryple krakanie. Nie była w stanie cieszyć się z wysoko pod sufit sięgającej choinki z zapalonymi świeczkami ani wspaniałym aromatem piernika. Nie czuła dumy z córki, która tak pięknie i radośnie grała coraz to inne świąteczne melodie na specjalnie dla niej kupionym fortepianie marki Steinway.

Teraz chyba po raz pierwszy od urodzenia dziewczynki pomyślała o niej z odrobiną czułości i z czymś na kształt wyrzutów sumienia. Nie była w stanie być dla niej prawdziwą matką – zresztą nie zamierzała tego robić Joannie i Stefanowi, którzy darzyli małą rodzicielską miłością – ale była jej ciekawa. Miała ochotę z nią porozmawiać i dlatego postanowiła wybrać się do Warszawy.

Odetta, Otusia – po raz pierwszy od długiego czasu zdarzyło się jej pomyśleć o sobie z sympatią – miała jedną namiętność: samochód. Maks z taką samą serdecznością mówił o swoim samolocie: mój aparat. Teraz ona też myślała o swoim Fiacie model 501: moja maszyna. Kupiła ją niedawno, za pierwsze cztery obrazy z serii „Deszcz jesienny”. Odtąd codzienne przejażdżki tym cudem były jedynymi jaśniejszymi chwilami w jej życiu. Jechała tam, gdzie mogła być sama – do Karczewa, Józefowa, Glinianki – wszędzie, gdzie prowadziły wybrukowane albo bite, ale w przyzwoitym stanie drogi. Do Warszawy zajeżdżała tylko w sprawach służbowych. Z umiejętności prowadzenia samochodu była tak samo dumna jak ze swoich obrazów.

Wszędzie wzbudzała sensację – kobieta za kierownicą. Uważano to za wybitnie męską domenę. A niesłusznie. Odetta podczas pobytu w Baden-Baden² miała okazję poznać panią Berthę Benz, pionierkę motoryzacji. Ta kobieta pracowała wraz ze swoim mężem nad konstrukcją coraz to nowych typów samochodów. W zasadzie była nie mniej zdolnym od niego inżynierem i wiele jej pomysłów wykorzystano w budowie aut. To ona wybrała się na pierwszą jazdę próbną modelem Motorwagen Benz numer 3. Opowiadała o tym z takim humorem, że nawet Odetta się uśmiechnęła.

A teraz temu wspomnieniu towarzyszyło westchnienie nad błyskawicznie zmieniającym się światem. Pani Bertha wybrała się na tę wyprawę bez pozwolenia męża ani władz, a jedno i drugie było wtedy wymagane. Pojazd, którym jechała, przypominał dwukołową bryczkę, tylko zamiast konia miał jeszcze trzecie koło. A dziś? Odetta nie wyobrażała sobie, by miała starać się o jakiegokolwiek pozwolenia na swoje przejażdżki, a jej Fiat był o niebo wygodniejszy i jego prowadzenie nie sprawiało aż tak wielu kłopotów jak kiedyś. A przecież od czasu wyprawy pani Berthy nie upłynęło nawet czterdzieści lat.

Ale dziś wszystko toczyło się w zwolnionym tempie. Otusia miała wrażenie, że żegna się z jakimś etapem swojego życia, bo czeka ją nowy, radośniejszy. Zerknęła za okno. Na sosnowych gałązkach pojawiły się już tegoroczne przyrosty oblepione lepką żywicą i wydzielające orzeźwiający zapach. Na dole w ogrodzie Marianka Ostapczukowa, krewna właścicielki domu, pielęła rabatki

² Miasto uzdrowiskowe położone w południowych Niemczech.

z mnóstwem rozkwitłych narcyzów, tulipanów i hiacyntów. Kolorowe i wesołe były kwiaty, kolorowa sukienka Marianki.

Odetta podeszła do szafy. Na co dzień ubierała się tak samo – w szerokie spodnie i w wiązaną w talii długą bluzkę o kroju kimona, a wszystko w szarawych brązach oddających jej zwykły nastrój. Na wieszakach wisiało kilka sukienek. Niektóre pamiętały jeszcze bale we Lwowie. Na jednym z nich poznała Maksa, tam zakwitła ich miłość. Otusia pieszczotliwym ruchem pogłaskała je, ale sięgnęła po codzienną suknię z cienkiej wełny. Była dosyć krótka, miała kształt worka z paskiem na linii bioder. Dziś już nikt takiego fasonu nie nosił. Dziś modne były suknie dłuższe, podkreślające talię i smukłą linię ciała.

– Będę musiała wstąpić do Hersego³ – szepnęła cicho do siebie i ta perspektywa ją ucieszyła.

Nie, sukienka nie nadawała się już do noszenia, wybrała więc spodnie, do których dodała tylko trochę bardziej elegancką bluzkę. Przejrzała się w lustrze szafy.

– Ekstrawagancko – powiedziała do siebie. Była ze swojego wyglądu zadowolona. Szczupła, giętka, trochę zaniedbana, ale to się da nadrobić.

Przypomniała sobie, jak jeszcze podczas studiów w Szkole Sztuk Pięknych⁴ głośno mówiła, że to ona sama jest dziełem sztuki,

³ Dom Mody Bogusław Herse – najbardziej elegancki sklep z odzieżą w Warszawie.

⁴ Ta uczelnia w 1932 r. została przekształcona w Akademię Sztuk Pięknych.

które zamierza kreować, dlatego tak wielką wagę przykładła do ubioru. Wtedy chciała po prostu zbulwersować koleżeństwo, ale teraz, bez dawnej buty, musiała przyznać, że to może być niezła zabawa.

Kiedy tak krygowała się przed lustrem, uświadomiła sobie, że powinna uprzedzić Joannę o tym, że zamierza ją odwiedzić. Zbiegła po schodach do holu, gdzie na niewielkim stoliku stał telefon dostępny dla wszystkich mieszkańców. Podniosła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha. Coś było nie w porządku. W telefonie panowała głucha cisza.

– Ki diabeł? – szepnęła zdziwiona, odłożyła słuchawkę i ruszyła do samochodu.